Opłata ryczałtem

Kraków

Cena 40 groszy.

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK II WARSZAWA—LISTOPAD—1931 № 11

Myśl Wolna nie jest doktryną,
jest metodą swobodnego myślenia.
F. Buisson: Deklaracja
Myśli Wolnej.

ADAM MAURIZIO

Stare czasy—dobre czasy.

Tęsknimy do szczęśliwej przeszłości. Co minęło, było lepsze od chwili obecnej. Ludzie stali się gorszymi. Przed setkami lat życie płynęło spokojnie, stąd tęsknota do dawnych czasów i do stanu pierwotnego. W czasach pierwotnych panowała idylla; gdzie dziś jest miejsce w życiu ludzkiem na niewinność, wierność, przyjaźń, dobroć?

Zajmując się przeglądem teorji rozwoju rolnictwa i pożywienia, starałem się dociec początków tego zakorzenionego mniemania, w którem ludzkość wyraża nieustającą potrzebę wyzwolenia się od trosk chwili obecnej, wyzwolenia się myślowego ze stosunków, w których żyje. Jestto wpływ różnych form wierzeń, utopij, baśni i podań ludowych, por. np. podania ludowe Grimmów: Gebr. Grimm — Deutsche Sagen). Istnieje również związek między różnemi tezami naukowemi,

a owem mniemaniem, to jest poprostu — wiarą, gdyż w tem znaczeniu „wiek złoty" jest epoką przed upadkiem człowieka. Utraciwszy szczęście pierwotne z własnej winy, człowiek upada coraz bardziej, uratować go może tylko życie pozagrobowe.

Podanie biblijne o upadku człowieka, o raju utraconym, o koniecznej pokucie jest podkładem wszelkich wierzeń — a częściowo też podkładem przekonania o lepszej przeszłości. Opinję tę nazwał Sorel „idéologie contreactuelle[1]). Na wyróżnienie zasługują zwłaszcza utopje, one bowiem (obok pierwiastków wiary) zawsze zawierają oskarżenie porządku społecznego, w jakim żyli ich autorzy. Bywały czasy, a nie minęły jeszcze zupełnie, kiedy krytykę społeczeństwa można było wygłaszać tylko w formie utopji; w tem zrozumieniu dobra myśl jest jeszcze dziś dla wielu „utopją".

To nie chrześcijaństwo dopiero obudziło podobne pojęcia; znajdujemy je (by nie sięgać dalej w przeszłość) u ludów klasycznych starożytności, o czem możnaby daleko więcej powiedzieć. Następujące przykłady pouczą nas, iż da się uzasadnić założenie, że nauka współczesna nie zdołała również uwolnić się w całości od podobnych pojęć. Wpływ wiary zatacza szerokie kręgi... Dotyka jeszcze dziś nietylko nauk humanistycznych, lecz i przyrodniczych. Wybrane tu przykłady dotyczą meteorologów, historyków kultury i hygjenistów w ich zapatrywaniach na klimat, na ustrój społeczny i na sposób odżywiania się ludzkości[2]).

Wiara w „psucie się" z roku na rok klimatu w Europie jest bardzo rozpowszechniona. Rzecz to bardzo poważna. Dżdżyste lato, ostra zima? Marne żniwa, drzewa nie obrodziły? To nie brednie gminne; do niedawna jeszcze musieli meteorologowie rozprawiać się z całą powagą z podobnemi twierdzeniami. Zajmowali się tem jeszcze na swoim międzynarodowym kongresie w r. 1889, a niedługo potem Hildebrandsson (1915) kwestję tę całkowicie wyjaśnił. Dowiódł on mianowicie, że poza niewielkiemi odchyleniami klimat Europy w czasach historycznych zupełnie się nie zmienił. Rośliny wrażliwe na zimno (latorośl winna, drzewo oliwne i t.p.) dojrzewają dziś jak i dawniej do tej samej granicy strefy, lody spływają o tej samej porze co i dawniej i t. d. Niedość na tem, niedawno znany badacz roślin przeddziejowych Neuweiler

1) Sorel G. — Les illusions du progres, Paryż 1911, a także w innych jego pismach.

2) Bardzo wiele innych przykładów znajdzie czytelnik w dziele: **White, A. D.** Geschichte der Fehde zwischen der Wissenschaft und d. Theologie i. d. Christenheit, 2 t. Lipsk 1911, por. t. I 246.

zmuszony był polemizować z zapatrywaniem o zmianie klimatu znacznie odleglejszych czasów, bo od młodszej epoki kamiennej i epoki bronzu; dowiódł on, że od owych epok nasz klimat się nie pogorszył[3]).

Podania ludowe o złotym wieku są bardzo liczne. Gdzie dziś panują lód i śnieg uśmiechał się jakoby ludziom klimat, pozwalający na osiedlanie się wysoko w górach. Powstało pytanie, o ile podobne podania, powtarzające się w tej samej postaci w odległych od siebie okolicach mogą służyć w badaniach prahistorji, jeśli nie jako źródło, to jako wskazówka do dalszych dociekań. Wino, wiśnia, jabłoń, orzech i zboża miały dojrzewać na znacznie większych wysokościach niż dzisiaj. Otóż w klimacie najbardziej łagodnym epoki bronzu (dla miejscowości, o których tu mowa, 2500 do 800 lat przed Chr.) mogło, wedle badań botanicznych, mieć miejsce przesunięcie granicy lasów i drzew o 100 do 200 m. wzwyż, podczas gdy podania głoszą o przesunięciach aż do 2000 m. ponad poziom morza[4]).

Ulubionym tematem jest wychwalanie szczęścia i szczerości uczciwych przystrojonych koroną prostoty ludów pierwotnych (Rousseau, jego liczni poprzednicy i następcy). Kultura psuje odwieczną harmonję. Nietylko teolodzy ustalają tę tezę mniejwięcej w następujący sposób: upadek ludzkości, wywołany przez kulturę, jest tylko przerwą między stanem szczęścia przedgrzesznego, a życiem przyszłem człowieka wierzącego w to, co mu Kościół nakazuje.

Nie da się wszakże zaprzeczyć, że ludom pierwotnym zawdzięczamy bardzo wiele pierwiastków kultury (całe pożywienie, uprawę, odzienia i t. d.). Formy naszego współżycia sięgają nietylko okresu, w którym człowiek nie znał jeszcze ognia, lecz i dalej — aż do społeczeństwa zwierzęcego. Badacze psychologji zwierząt czynią dziś wysiłki, by odgraniczyć formy społeczeństwa zwierzęcego od ludzkiego[5]). Ale nie jest to droga tych, którzy różne stopnie rozwoju „dzikich" stawiają jako jeden jednolity przykład, zbliżający dzikiego do stanu człowieka, żyjącego przed grzechem pierworodnym.

Na tem polu wsławili się misjonarze, (szczególnie od czasów reformy), historycy konserwatywni, malujący nam obrazy niewinności i przeciwstawiający im dzisiejszą ludzkość

---

3) **Hildebrandsson H. H.** Sur le prétendu changement du climat i t. d. Acta reg. Soc. scient. upsalensis Ser. IV, vol. 4, № 5. Upsala 1915. **Neuweiler E.** w przeglądzie roślinności owych czasów w Mitt. Antiquarische Ges. in Zurich. T. 29 1924. 263|4.

4) **Tschumi O.** Urgeschichte der Schweiz. Frauenfeld, Lipsk 1926 169

5) **Alverdes Fr.** Tiersoziologie Lipsk 1925. VIII 152 str.

zepsutą i bezbożną. Nie ustępują im socjaliści, porównywający pierwotne szczęście komunizmu z teraźniejszością, cierpiącą w więzach kapitalizmu. Można tu zajść daleko, bo w głąb zawiłych rozwojowych pytań, któremi się zajmuje porównawcza etnografja i etnologja, jak np. powstanie i znaczenie koczownictwa, osiedlenia i rolnictwa, a w związku z niemi wędrówek Aryjczyków. Do nieporozumień, panujących długo w tej dziedzinie, przyczyniło się przypuszczenie, że raj leżał w Mezopotamji. Hoops[6]) mówi wprost (p. 118, por. też 485, 489): Przypuszczenie, „że ojczyzny niepodzielonych na szczepy Indogermanów szukać trzeba w Azji, wyłoniło się świadomie lub nieświadomie pod wpływem myśli starotestamentowej o raju... Nowsze badania przenoszą ojczyznę Indogermanów do Europy“ i t. d.

Gdybyśmy chcieli wymieniać wszystkich badaczy, którzy w tej dziedzinie są opanowani w gruncie rzeczy, jak mówi Hoops, pojęciami o raju i biblji, naliczylibyśmy ich spory zastęp, chociaż stwierdzić należy, że ostatnio zaczyna ich ubywać. Zadowolnię się wskazówką, wziętą z badań nad początkami pszczelnictwa. Znany badacz v. Lippmann wykazuje, że wszystkie studja nad temi początkami, o ile dotyczą Małej Azji, są z gruntu błędne i nie posiadają najmniejszej historycznej wartości. „Studja te podlegają bardzo rozpowszechnionemu pojęciu, że Pismo Święte jest dziełem jednolitem, podczas gdy czas powstawania i spisywania Starego i Nowego Testamentu obejmuje okres przeszło tysiącletni. Obok tego, liczne ustępy w biblji są w różnych czasach przekształconą, przez interpolację do niepoznania zmienioną, zupełnie zepsutą pierwotną postacią“[7]). Między tak ocenionymi autorami znajdujemy, aż do r. 1928, kilku bardzo w tej dziedzinie znanych.

Na tem kończę rozważania w związku ze sprawami czysto biblijnemi.

(Dokończenie nastąpi).

HENRYK UŁASZYN.

Bronzownictwo.

„Bronzownictwo“ w cudzysłowie, więc jako przenośnia — to trafnie przez Boya-Żeleńskiego stworzony termin na określenie pewnego rodzaju fałszu, obłudy.

---

6) **Hoops. Joh** Waldbäume und Kulturpflanzen i german. Altertum. Strassburg 1905.

7) **Lippmann E.** Die Geschichte des Zuckers, 3 wyd. Berlin, 1929. 9,

„Bronzownicy" zatem — to fałszerze, obłudnicy. Termin ten ma co do treści swej wiele wspólnego z użytym w swoim czasie przez Feldmana: „pomniejszyciele olbrzymów". Coś podobnego poruszył również i głośny współczesny pisarz francuski Julien Benda w swej ciekawej i cennej książce p. t. „La trahison des Clercs" (Paryż, 1927).

„Bronzownicy" z kapłańskiem namaszczeniem głoszą, że służą prawdzie, ale w rzeczywistości prawdę tę niejednokrotnie ukrywają, lub nawet... fałszują...

Nie chodzi mi tu o to w imię czego prawdę tę zamilczają czy fałszują. Bo to nie zmienia istoty rzeczy. I, oczywiście, nie mam tu na względzie wypadków wyjątkowych, kiedy się prawdę ukrywać — musi... Przecież w życiu stoimy zwykle nie przed wyborem między dobrem a złem, lecz pomiędzy dobrem a dobrem, lub złem a złem, które są oczywiście sobie nie równe: odrzucamy „mniejsze dobre" na korzyść „większego"; „większe złe" — na korzyść „mniejszego"...

A zresztą niech sobie i „bronzownictwo" istnieje, tylko nazywajmy rzecz po imieniu: „bronzownictwo"—nie „bronz".

Prawda „bronzowana" przestaje być prawdą. Ale prawda „bronzowana" może być prawdą, jeśli się wie, że to „bronzowana" prawda.

„Bronzowana" prawda to — bajeczka. Nikt jej racji bytu nie odmawia, ale łaknie się też — i, nawet przedewszystkiem, niebronzowanej prawdy, prawdy bez epitetu. To też słusznie ks. Walerjan Kalinka powiedział: „Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy."

Łaknął tej prawdy i mały Władzio z „Jaskółki" Daniłowskiego. Stworzył nawet na jej oznaczenie własny termin w swej dziecinnej mowie. Oto, nasłuchawszy się dość „bajeczek", zażądał, by mu opowiedziano „prawdeczki"..

Ale kto nie umie odróżniać „bajeczki" od „prawdeczki", ten może się znaleźć w przykrej sytuacji. Żeby zaś móc odróżniać, trzeba rozporządzać zapasem rzetelnych wiadomości, ale, przedewszystkiem, trzeba umieć myśleć niezależnie.

To ostatnie, zresztą, nie jest procesem zbyt łatwym. Toteż ludzi myślących samodzielnie stosunkowo jest mało; większość to automaty, operujące formułkami i dogmatami narzuconemi.

„Bronzownictwo" więc się popłaca...

Aczkolwiek nie tylko Ewangielje (Mat. XII, 46.; XIII, 55; Mar. III, 31; VI, 3; Łuk. VIII, 19; Jan II, 12; VII, 3, 5, 10; XX,

17), lecz również i Dzieje Apostolskie (I, 14) i św. Paweł (I Kor. IX, 5; Gal. I, 19) wyraźnie i tylokrotnie wspominają o rodzeństwie Jezusa, np. czytamy u Mateusza: „Czyż matki jego nie zowią Marja, a braci jego Jakób i Józef, i Szymon i Judasz?" (XIII, 55), co też zgodnie przyjmują kościoły chrześcijańskie z wyjątkiem rzymsko-katolickiego, uznając Jezusa jako najstarszego wśród rodzeństwa — kościół rzymsko-katolicki dla doktryny swej uważa go za jedynego syna Marji.

Jest to, oczywiście, swoiste „bronzownictwo"... „Bronzownictwo", dokonywane wcale częstokroć niezręcznemi rękoma rzymskich teologów. Niech służy przykład. Oto np. w wydaniu Nowego Testamentu, zaopatrzonego komentarzem profesora Pisma Św. ks. biskupa Ant. Szlagowskiego (Warszawa 1913; wydanie 2-gie), czytamy, że to nie o rodzonych braci Jezusa chodzi, lecz o „dalszych krewnych", bo w hebrajskim brat „oznaczał nietylko krewnego, ale człowieka tego samego pokolenia, lub narodu, wreszcie towarzysza i przyjaciela" (str. 83--84) — jakby to tylko ongi w hebrajskim brat miał owe znaczenia, a nie było ich w języku greckim, lub jakimkolwiek z dzisiejszych nawet języków! Trudno też przypuszczać, żeby autorowie greckich oryginałów Nowego Testamentu nie zdawali sobie z tego sprawy. Ale co najciekawsze w tym komentarzu ks. biskupa Szlagowskiego, to odsyłacz do Łukasza II, 7, że „Jezus był jednorodzonym" (sic!!), boć przecież wiemy, że w całym Nowym Testamencie niema takiego określenia z wyjątkiem pism św. Jana, o czem zresztą i słusznie ks. biskup nie wspomina, gdyż, — jak wiadomo — terminologia ta u św. Jana (I, 14, 18; III, 16, 18; I J. IV, 9) ma specjalne znaczenie. To też odsyłacz ks. biskupa Szlagowskiego wprowadza czytelnika w błąd, gdyż we wskazanem miejscu św. Łukasz używa nie terminu **jednorodzony**, lecz całkiem innego, najzupełniej zgodnego z innemi miejscami Nowego Testamentu o rodzeństwie Jezusa. Oto czytamy tam: „I stało się, gdy tam (w Betlehem) byli, wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła syna swojego **pierworodnego**". Notabene Wulgata, a więc biblja katolicka, jakby na złość ma ten zwrot i u Mateusza I, 25: „porodziła syna swego **pierworodnego**" (t. zw. **varia lectio**). A wszak **pierworodny** a **jednorodzony** to chyba nie jedno i to samo...

Oczywiście, bracia i siostry Jezusa muszą być, mimo zgodne i liczne świadectwa pism Nowego Testamentu, „dalszymi (sic!) krewnymi", bo inaczej nie mógłby „Kościół św." modlić się do Marji: „Po porodzeniu Dziewicą nienaruszoną pozostałaś" (por. tamże ks. biskup Szlagowski, str. 33).

I tak samo, jak nie wypadało gwoli doktrynie rzymskiej

mieć Marji po za Jezusem więcej dzieci, tak nie wypadało również i papieżowi Aleksandrowi VI, chociażby z epoki jego kardynalstwa, mieć dzieci z nieprawego, oczywiście, łoża. To też „bronzownik“ A. Leonetti starał się w swoim czasie udowodnić, że dzieci Aleksandra VI były usynowionymi synowcami i synowicami. Odrzuca to „naciąganie“ nawet katolicka „Podręczna Encyklopedja Kościelna“ (t. I, str. 122), ale cenzura filmowa w wyświetlanej u nas sztuce „Lucretia Borgia“ przedstawia ową Lukrecję, córkę papieża Aleksandra VI, spłodzoną z faworytki Vanozzy, jako jego... kuzynkę, t. j. „dalszą krewną“...

Matka Boska — nie mam tu, oczywiście, na względzie obrazów w rodzaju Częstochowskiego czy Ostrobramskiego, lecz zwykłe obrazy i figury dziś rozpowszechnione, np. Matki Boskiej z Lourdes czy z La Chalette i t.p. — otóż taka Matka Boska musi być zawsze „piękna“, bo ma być wcieleniem dobroci i słodyczy...

Podobnież różne święte, np. św. Tereska. To echa zapewne greckiej **kalokagathji** („kalos kaj agathos“)...

Czasami trudno by było nawet uświadomić sobie różnicę między Matką Boską a np. św. Tereską, gdyby nie odmienny strój, inne akcesorja. A całość jest utrzymana w określonym stylu. Nazywa się on we Francji „style St. Sulpice“, od nazwy dzielnicy Paryża, ogniskującej sklepy z dewocjonaljami.

Prawda, rzeczywistość — to rzecz dalszorzędna...

Cóż z tego, że co do św. Tereski i fotografje i świadectwa ludzi — zmarła przecie niedawno, bo w roku 1897 — coś innego mówią o jej wyglądzie, niż mówią nam portrety, malowane przez jej siostrę, mniszkę Cecylję, portrety dziś znajdujące się omal w każdym katolickim domu... To też zaczęły się były pojawiać głosy w sprawie tego „bronzownictwa“. Wreszcie, wmieszało się do tego duchowieństwo; zajął się sprawą fizycznego wyglądu św. Tereski i biskup z Bayeux i Lisieux. I wydano odpowiednią książeczkę p. t. „A propos des Portraits de Sainte Thérèse de l‘Enfant Jésus“ (1926). Jest tam kilkanaście fotografij św. Tereski, a jedna szczególniej zwraca naszą uwagę zarówno ze względu na wygląd Tereski jak i informację w jaką ją zaopatrzono. „Sa famille — czytamy tam — n‘étant pas habituée à la voir ainsi (chodzi niby o uczesanie) avait gardé cette photographie dans l‘intimité,“ t. j. rodzina, nie będąc przyzwyczajoną widzieć ją taką, chowała tę fotografję, czyli nie pokazywała jej, chyba tylko najbliższym, zaufanym osobom. To fotografja 15-letniej Tereski. Ale znamy i inną, z epoki, co i owe „oficjalne“ portrety, ale trudną do zobaczenia, bo nie istniejącą teraz w

handlu, „zakazaną“, a więc i nie istniejącą w owej książeczce, ale dziwnie zgodnej w podobieństwie z ową fotografją wspomnianą. Ta okoliczność pozwala nam zrozumieć właściwie ów „komentarz“: rodzina chowała ową fotografję nie dla szpecącego Tereskę uczesania, lecz dla niełądnej twarzyczki, nieupiększonej retuszowaniem, lub — na portretach — pędzlem siostry Cecylji.

A dwie te fotografje zgodne ze sobą, zgodne też są z głosami krytykującemi fabrykaty klasztoru karmelitanek, istniejące w handlu. Oto głosy krytyki: „Soeur Thérèse avait la bouche largement fendue, les pommettes saillantes, tous les traits accentués, le maxillaire puissant, le menton fort et proéminent, l'ovale du visage irrégulier,“ t. j. siostra Teresa miała usta szerokie, policzki wystające, wszystkie rysy wyraziste (czyli t. zw. „grube“), szczęki wielkie, podbródek wielki i wydatny, owal twarzy nieregularny... Może jest tu pewna przesada, charakterystyka ta bowiem przytoczona jest w owej książeczce wydanej przez duchowieństwo, więc może zgęszczano farby, by zwiększać kontrast i podrywać prawdziwość krytyki, ale zasadnicze rysy tej charakterystyki, jak zaznaczyłem już wyżej, dziwnie się godzą z owemi dwiema fotografjami, a kontrastują z fabrykatami klasztoru, opierającemi się głównie na idealizowanych portretach siostry Cecylji, z których jeden, ów właśnie umieszczony na początku „Histoire d'une âme“ św. Tereski jest, według orzeczenia biskupa z Bayeux i Lisieux, „portretem prawdziwym i autentycznym“. Oficjalne zaś wydanie pism św. Tereski na str. 594 taki daje opis „portretu fizycznego“ tej świętej: „Elle avait les cheveux blonds, les yeux pers, les sourcils droits et fins, la bouche petite, les traits délicats et réguliers. Son visage, au teint lis, était d'une coupe harmonieuse, bien proportionnée“... t. j. miała ona blond-włosy, oczy ciemne, brwi równe i subtelne, usta małe, rysy delikatne i regularne. Jej twarz o cerze lilji miała formy harmonijne, proporcjonalne...

A więc kler i klasztor karmelitanek w zgodzie z Cecylją „pobronzowali“ św. Tereskę... W ten sposób, oczywiście, zyskać można i więcej czcicieli św. Tereski i więcej sprzedać obrazów i statuetek...

Ale od świętych przejdźmy do „grzeszników“, czasami bardzo „zatwardziałych“, bo całkiem nawet bojowo ustosunkowujących się do „świętego“ rzymskiego kościoła...

Oto np. głośne, hypnotyzujące swoją autorytatywnością, nazwisko Clemenceau. Taki wielki, zasłużony patrjota i mąż stanu — umierać musi „po katolicku“: musi się przed śmiercią spowiadać. To też bogoojczyzniany „Goniec Wielkopolski“ w nr. 273 z 1929 roku w ten sposób informował swoich

czytelników o zgonie Clemenceau: „W ciągu południa przybył do łoża chorego biskup Paryża i udzielił choremu Sakramentu św. Olejów w obecności całej rodziny.“

W rzeczywistości Clemenceau był wolnomyślicielem i jednym z najbardziej bojowych ludzi w walce z kościołem rzymskim. Brał też wybitny udział w przeprowadzeniu rozdziału kościoła od państwa, będąc jednym z najwytrwalszych w walce o tę sprawę. Jeszcze w roku 1880, gromko i kategorycznie sprzeciwiając się połowicznym środkom w rozwiązaniu sprawy rozdziału kościoła od państwa, tak mówił: „Niebezpieczeństwo klerykalne polega na unji dwuch sił bezwzględnie sobie wrogich: kościoła i społeczeństwa świeckiego („societé civile“). Jest tylko jeden środek rozwiązania ostatecznego kwestji klerykalnej, oto oddzielić kościół od państwa i ogłosić wolność zrzeszania się“ (por. G. Weill, profesor uniwersytetu w Caen „Histoire de l‘idée laique en France au XIX-e siècle“, Paris, Alcan 1929; str. 260).

W roku zaś 1892 w swej głośnej mowie, która spowodowała upadek ministerstwa Freycinet‘a, wywodził: „Walką między prawami człowieka i tem, co się zowie prawami boskiemi — jest możliwa. Przymierze — jest niemożliwe. W każdym razie, walka rozpoczęta winna trwać dalej. Przyszłość pokaże, kto zwycięży...“ (tamże, str. 296).

I nie tylko przed wyborcami, w parlamencie, w publicystyce walczył o ów rozdział kościoła od państwa, lecz współpracował również w piśmie dla **młodzieży,** założonem w roku 1902: „Annales de la jeunesse laique“.

Więc go „Goniec Wielkopolski“ i inne bogoojczyzniane pisma „pobronzowały“, bo inaczej jak z przyjęciem katolickich sakramentów wielki Clemenceau umrzeć nie mógł*).

---

*) Przy tej sposobności warto wspomnieć o zabiegach „bronzowników“ poczynionych przy śmierci ministra Sławomira Czerwińskiego, kalwina z przekonania. O tem dokładnie pisali kompetentni, np. w „Jednocie“ nr. 718 oraz w Zwiastunie Ewangielicznym“ nr. 33 z roku 1931; do tych więc artykułów odsyłam ciekawych. „Pobronzowano“ Czerwińskiego urządzeniem mu rzymskiego pogrzebu. Oto zaś świeżo z powodu śmierci b. prezesa Rady Ministrów hr. Aleksandra Skrzyńskiego „Główny Zarząd Dóbr i Zakładów Przemysłowych“ zmarłego wychodząc widocznie z tej zasady, że przyzwoity człowiek, a tembardziej hrabia, nawet w razie, jak to właśnie było, raptownej śmierci, nie może rozstać się z tym światem bez sakramentów — ogłosiła w pismach, że „zasnął“ „opatrzony św. Sakramentami“, chociaż nie trzeba być teologiem, aby wiedzieć, że, wobec raptownej śmierci nie mogło to mieć miejsca.

A oto znów inne głośne — u nas szczególniej — nazwisko: Benedykt Dybowski. Taki wielki i zasłużony uczony, przyrodnik, obywatel, patrjota, musi być „obrońcą wiary“ — oczywiście rzymsko-katolickiej... Tak nazwał profesora Dybowskiego autor wspomnienia pośmiertnego w katolickim „Dzienniku Poznańskim“. Tymczasem był on zdecydowanym wolnomyślicielem, autorem głośnej, zalecanej wszystkim „początkującym wolnomyślicielom“ książeczki p. t. „O światopoglądach starożytnym i naukowym“; był autorem szeregu artykułów, drukowanych w wydawanem przez Andrzeja Niemojewskiego piśmie „Myśli Niepodległej“, w epoce, kiedy prowadziło ono ostrą walkę z klerykalizmem rzymskim... Ale, że był wielkim uczonym i obywatelem — należało go... pobronzować, t. j. zaopatrzyć w tytuł „obrońcy wiary“... Tacy wielcy bowiem nie mogą nie być przykładnymi rzymczykami (rzymskimi katolikami), zupełnie jak według złotoustego księdza Skargi Turcy nie mogą zwyciężać, bo nie są chrześcijanami..

Niezmiernie trafnie to „modelowanie“ wielkich ludzi na swoje kopyto ludzi małych — nazwane zostało przez Boya „bronzownictwem“. Niestety, nie rozumieją tego „bronzownicy“, że przez ową fuszerkę, podrywają częstokroć zaufanie do całej swojej konstrukcji.

Lecz o co chodzi? O idealne postaci? Gdzież one są? Są przecież tylko idee — i te tylko powinny być przedmiotem kultu. Idee, o których słusznie powiedział August Cieszkowski, że „są to apostoły niewidome, do założenia niewidomego królestwa“...

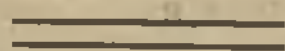
Idee czy ideały — to konieczność życiowa. Tworzymy je, oczywiście, poto by do nich dążyć. Ideały dobra, prawdy, piękna, sprawiedliwości i t.p. Wszakże, niestety, zamiast aby niemi żyć, w życie je wcielać, zadowalamy się ich substratami, t. j. preparatami biograficznemi, hagiografami na miarę mózgów „pomniejszycieli olbrzymów“... I zapominamy, że najgenjalniejsze indywidua „wcielają“ w różnych stopniach różnorakie ideały ludzkości. Przecież żywy człowiek, to nie to samo co ideał czy idea, czy ich zespół — znowuż „idealny“ na swój sposób...

Kiedy dla człowieka wyższej kultury istotnem jest dążenie do ideału, a więc i dążenie do prawdy, człowiek-automat zadowala się preparowaną prawdą... Zapomina się, że tem, co człowieka uszlachetnia, co go czyni właściwie człowiekiem — jest nie posiadanie prawdy, lecz dążenie do niej; posiadanie bowiem prawdy jest zawsze tylko drobną cząsteczką

i to już martwą tej całości żywej, tej prawdy, do której się dąży...

„Das Suchen nach der Wahrheit — powiedział słusznie Lessing — wertvoller ist als ihr kampfloser Besitz“, t. j. szukanie prawdy jest bardziej wartościowe, niż jej bierne posiadanie.

„Bronzownictwo“ to owoc posiadanej martwej prawdy.



Od D-ra Leona Zamenhofa otrzymaliśmy poniższe uwagi, które umieszczamy bez żadnych zmian, jakkolwiek niezupełnie zgadzamy się z wywodami Autora. Pozwalamy sobie sądzić, że czytelnicy nasi odróżnią zdrowe ziarno rozumnej krytyki współczesnego ruchu wolnomyślicielskiego od wyrazów rozgoryczenia, czy zniechęcenia, jakiem — słusznie czy niesłusznie — napawa Autora polityka obecna Związków Myśli Wolnej.

REDAKCJA.

LEON ZAMENHOF.

Wolnej myśli — wolna droga.

Ostatnie posunięcia na terenie ruchu wolnomyślicielskiego u nas, rozłam ideologji jego, zjazd w Berlinie, zapadłe na nim uchwały nasuwają szereg refleksyj natury zasadniczej.

Jestem od szeregu lat sympatykiem wolnomyślicielstwa, uważnie przeglądam oficjalne wynurzenia jego organów, a jednak wciąż należę do tych „niezdecydowanych“, którzy nie mogą zdobyć się na krok stanowczy w obawie przed skokiem w próżnię.

Bo jakże być tu zdecydowanym, kiedy praktyka wolnomyślicielska pełna jest zasadniczych sprzeczności. Zgodnie z definicją Buissona, złożoną na zjeździe w Rzymie, „wolna myśl nie jest doktryną, lecz metodą badania życia“. A więc związki wolnomyślicielskie winny być właściwie związkami naukowemi lub oświatowemi, jak twierdzi G. Séailles, według którego propaganda wolnej myśli polega „na rozpowszechnieniu wykształcenia“.

Czy wolnomyśliciele w życiu istotnie hołdują tym hasłom, czy ich praktyka odpowiada teorji?

Cały wysiłek wolnej myśli, przynajmniej u nas, stworzony

jest na walkę z religjami. Czyżby religje były jedyną przeszkodą w rozwoju wolnej myśli?

Dogmaty religijne ludziom myślącym racjonalnie mogą wydać się absurdem, zabobonem, przesądem. Ale czy ci sami ludzie mogą twierdzić o sobie, że oni są wolni od błędów w innych dziedzinach ducha? Czy wogóle może być nieomylny system myślenia, oparty na przesłankach przeważnie apriorystycznych?

Żadna nauka nie zabezpiecza przed hołdowaniem absurdom. Życie nasze składa się z nieprzerwanego łańcucha nonsensów. Wezmy dla przykładu tak realną naukę jak medycynę. Zdawałoby się, że w olbrzymim jej dzisiejszym postępie nie powinno być miejsca na wiarę w cuda, a jednak nigdy wśród zwolenników znachorstwa nie było tylu racjonalnie myślących inteligentów, ile obecnie.

Tych paradoksów życiowych spotykamy niezmiernie dużo na każdym kroku. Można nie zgodzić się ze zdaniem wypowiedzianem niegdyś przez Baudouin de Courtenay'a, że zaledwie 1% tak zwanych wolnomyślicieli posiada w istocie myśl wolną od zaciekłości, przesądów i nietolerancji, trzeba się jednak przyznać do tego, że wolnomyśliciele niezawsze odznaczają się dostateczną dozą samokrytycyzmu.

Byłem na jednym ze zjazdów lokalnych polskiego wolnomyślicielstwa w Warszawie. Pośród delegatów pewien prowincjonalny nauczyciel opowiadał ironicznie, jak był prześladowany przez władze, które przerzucały go z miejsca na miejsce, aż wreszcie przydzielono go do szkoły żydowskiej. Na jego protest, że w szkole żydowskiej świętują sobotę, odpowiedziano mu, że przecież wolnomyślicielowi winna być obojętna kwestja świętowania soboty czy niedzieli. Opowiadanie to audytorjum przyjęło jako curiosum, nie odczuwając w niem satyry pod adresem samego wolnomyślicielstwa, które broniąc niedzieli jako dnia wypoczynkowego, zupełnie zapomniało o tem, że stanęło w obronie tradycji religijnej.

Ludzie wiedzy, jak słusznie zauważył A. France, wśród ciemności, które nas wszystkich otaczają, rozbijają sobie głowę o mur, podczas gdy nieuk zazwyczaj najspokojniej trzyma się środka pokoju. Oto przyczyna, dlaczego uczeni w życiu nieraz częściej popełniają absurdy, niż ci, którzy kierują się więcej instynktem.

Wolnomyślicielstwo, błądząc na rozdrożach, opierając swą doktrynę więcej na negacji niż na twórczości, nie umiało porwać za sobą tłumów. Nic więc dziwnego, że nie posiadając własnego skrystalizowanego programu, szuka poparcia poza

sferą wolnej myśli, czego dowodem jest ostatnia fuzja z międzynarodówką proletarjacką na zjeździe w Berlinie.

Niema nic zdrożnego w poszukiwaniu pomocy, kiedy walczy się o jakąś ideę, zwłaszcza w demokratycznych związkach socjalistycznych, ale uczynienie tego kosztem własnej ideologji musi narazić na szwank samą doktrynę wolnomyślicielską. Nietrudno przewidzieć, że wcześniej czy później programowy socjalizm pochłonie całkowicie naogół mało skrystalizowane pod względem programowym wolnomyślicielstwo.

Czy akt ten odbędzie się ze szkodą dla wolnej myśli? Mniemam, że tak, a to dlatego, że socjalizm jest bądź co bądź muzyką przyszłości, związanie się z nim — to zaniedbanie tych dróg, które daje nam teraźniejszość — dróg szerokiego demokratyzmu i czystej nauki.

W związku z temi uwagami nasuwa się myśl, czy wogóle wolnomyślicielstwo nie zbiegło ze swej prostej drogi w szukaniu i szerzeniu prawdy?

Walka o prawdę, prowadzona niemal wyłącznie z okopów gminy bezwyznaniowej, zgóry skazana jest na bezowocność, gdyż utrudnia dostęp prawdy do mas nieuświadomionych. Walka winna się toczyć na gruncie gmin wyznaniowych. Raczej winniśmy walczyć o zniesieniu gmin już istniejących, a nie tworzenie nowych. Ideałem wolnomyślicielstwa, według mego przekonania, powinna być nietylko bezwyznaniowość lecz i bezgminność, która w państwie demokratycznem musi być pierwszym warunkiem wolności i niezależności.

MICHAŁ SZULKIN.

Hiszpanja a Polska.

(Na marginesie artykułu ks. Z. Baranowskiego).

W powodzi olbrzymiej ilości różnych pism i pisemek w rodzaju „Rycerza Niepokalanej“ i innych, kolportowanych we wszystkich miastach, zasługuje na wyróżnienie czasopismo p. t. „Wiadomości dla duchowieństwa“, organ Związku Kapłanów „Unitas“ w Poznaniu.

Są tam czasem artykuły poważniejsze i będące wymownem świadectwem poglądów poszczególnych przedstawicieli duchowieństwa katolickiego na niektóre przejawy życia współczesnego, lub wypadki zagraniczne. W ostatnim właśnie zeszycie za lipiec—sierpień r. b. jest umieszczony artykuł

księdza Z. Baranowskiego p. t. „Hiszpanja, a my". Paralela Hiszpanji z Polską należy do zagadnień od kilkuset lat aktualnych, zajmujących uczonych (jak znakomitego historyka Joachima Lelewela, który dał wnikliwą i głęboką paralelę Hiszpanji i Polski przedrozbiorowej), publicystów i dziennikarzy. „Racjonalista" umieścił już w numerze czerwcowym informacyjny artykuł, oświetlający podłoże przewrotu politycznego w Hiszpanji, obecnie warto się zająć wspomnianym artykułem ks. Baranowskiego, przedrukowanym w wyjątkach w Nr. 26 „Przeglądu Katolickiego" z 28 czerwca b. r. Autor stwierdza pewne podobieństwo obecnych stosunków naszych z stanem Hiszpanji przed przewrotem, podobieństwo to — zdaniem ks. Baranowskiego — uwidacznia się „w dokonywującej się znacznej radykalizacji tak społecznej, jak religijnej." Jeśli słusznem wydaje mi się powyższe spostrzeżenie, nie wytrzymuje krytyki materjał dowodowy ks. Baranowskiego z dziedziny stosunków polskich, pisze bowiem, że „projekty prawa dziedziny życia małżeńskiego (śluby cywilne, rozwody, karalność przerwania ciąży) **skrajnością swą przypominają raczej bolszewję niż Europę**" (podkreślenia moje). A przecież jest rzeczą powszechnie znaną, jak zacofane jest nasze obecne prawodawstwo małżeńskie w porównaniu z Europą, projekt zaś Komisji Kodyfikacyjnej R. P., bardzo umiarkowany i niedorównywający prawodawstwu małżeńskiemu państw zachodnio-europejskich, jest gwałtownie zwalczany przez prasę i pisma klerykalne (Urban w „Przeglądzie Powszechnym").

Dalej stwierdza ks. Baranowski znany fakt udziału elity intelektualnej i inteligencji hiszpańskiej „na czele rewolucji hiszpańskiej" i pisze „Otóż tu możemy stwierdzić z prawdziwem zadowoleniem, że młodzież nasza akademicka w wielkiej części daje nam rękojmię, iż będzie kiedyś prawdziwą podporą kościoła i narodu. Należałoby — sądzi ks. Baranowski — więc zbliżyć się do niej jeszcze więcej niż dotychczas, **otoczyć opieką materjalną i moralną** (podkreślenie moje), bronić od tych licznych wrogów, którzy chcieliby młodzież naszą uniwersytecką rozbić, zmaterjalizować i odciągnąć od wpływu kościoła". Niewątpliwie obraz powyższy jest naogół zgodny z rzeczywistością, młodzież wychowana klerykalnie w gimnazjach, nie posiada krytycyzmu tak koniecznego w studjach wyższych, i na wyższych uczelniach, jest biernem narzędziem w ręku kleru, czego dowodem między innemi był t. zw. protest w sprawie artykułu prof. Kotarbińskiego; znanym jest również fakt „opieki materjalnej i moralnej" duchowieństwa nad młodzieżą akademicką, wciągania do licznych sodalicyj marjańskich i innych stowarzyszeń klerykalnych. Lecz radość autora artykułu jest może przewczesna, gdyż są również

akademicy — spadkobiercy ideowi dawnych pokoleń studenckich, rozumiejący niebezpieczeństwo klerykalizmu polskiego, który niejedną już czarną kartę ma w dziejach Polski przedrozbiorowej, a co najważniejsze, szerokie warstwy społeczeństwa polskiego nie zrezygnują ze zdobyczy poprzednich pokoleń we wszystkich państwach europejskich, nie zrezygnują z niezależnej, powszechnej oświaty, z laicyzacji życia współczesnego. Nic nie zdoła powstrzymać od tego, można tylko opóźnić ze szkodą dla społeczeństwa i kraju, co jest konieczne w każdem państwie europejskiem i nieeuropejskiem (z wyjątkiem kilku państw, chcących wskrzesić przeżyte średniowiecze) i co ostatnio po długiej niewoli watykańskiej zaistniało w Hiszpanji.

Daleki, lecz głośny, dzwon hiszpański świadczy wymownie o tem, że świat idzie naprzód ku Nowej lepszej Przyszłości.

Dokumenty.

Celem zupełnego wyjaśnienia nieścisłości i niezgodności tekstów niemieckich i francuskich uchwał i deklaracyj Kongresu Wolnomyślicieli w Berlinie, zwróciłem się z polecenia Zarządu Głównego bezpośrednio do Dr. M. Terwagne'a, jako do prezesa nowej Unji Międzynarodowej. Wątpliwości nasze ująłem w trzy wyraźne pytania, a mianowicie: 1) Dlaczego sprawozdania z Kongresu w języku niemieckim i francuskim różnią się między sobą, i które z nich jest oficjalnem? głównie zaś, dlaczego niemiecki tekst deklaracji uznaje socjalizm jako myśl przewodnią i cel ruchu wolnomyślicielskiego, podczas gdy tekst francuski nic o tem nie wspomina? czy wobec tego do nowej Unji powinni należeć tylko socjaliści? 2) Czy z dniem 1 stycznia 1932 Międzynarodówka Brukselska przestaje istnieć? 3) Czy deklaracja niemiecka, uchwalona na Kongresie, obowiązuje wszystkich członków nowej Unji Międzynarodowej? Odpowiedź Dr. Terwagne'a podana jest poniżej w pewnym skrócie.

Józef Landau.

Bruksela, dnia 2 listopada 1931 r.

Drogi towarzyszu Landau!

Odczytałem list Wasz z przyjemnością i spieszę z natychmiastową odpowiedzią:

1-o) Sprawozdanie z Kongresu Berlińskiego wydrukowane w wiedeńskim „Atheist" i w berlińskim „Freidenker" nie mogło

być przeze mnie sprawdzone, ponieważ język niemiecki znam bardzo niedokładnie, lecz uspokójcie się, sprawozdanie oficjalne ukaże się wkrótce w językach niemieckim, francuskim i angielskim, jak tylko zostanie ustalone i sprawdzone przez Egzekutywę nowej Międzynarodówki. Sprawozdanie, które ja umieściłem w „La Pensée", jest absolutnie dokładne i możecie mu zawierzyć. By należeć do nowej Międzynarodówki nikt nie ma potrzeby być socjalistą. Czytajcie artykuł „Rezolucje końcowe Kongresu w Berlinie" i zobaczycie tam dosłownie:

„Ruch wolnomyślicielski nie jest związany z żadną partją polityczną ani też nie mieści się w żadnej partji, lecz jego główną myślą jest lepsza organizacja społeczeństwa". — Sądzę, że to jest zupełnie jasne.

Zresztą weźcie pod uwagę następujący fakt: deklaracja zasad Związku Międzynarodowego zostanie przedstawiona, jak uchwalono, najbliższemu Kongresowi Międzynarodowemu. Nie będzie ona z pewnością różniła się od podstawowych zasad, które wygłosiłem. Wiem dobrze, że podczas pospiesznych tłumaczeń i poprawek, które były czynione na ostatniem posiedzeniu Kongresu, wkradły się pewne niedokładności, lecz wszystko to zostanie sprostowane, możecie tego być pewni.

2-o) Zgodnie z uchwałą jednomyślną Kongresu Unja Międzynarodowa rozpocznie swe czynności 1-go stycznia 1932 r. Tego dnia łączą się wszystkie wydziały naszej Międzynarodówki oraz wszystkie wydziały Międzynarodówki Proletarjackiej w jedną organizację międzynarodową. Zebranie Egzekutywy odbędzie się 10 b. m. w Kolonji. Mamy bardzo obszerny program prac i zapewniam Was, że jesteśmy zdecydowani mocno (vaillemment) prowadzić nową organizację.

3-o) Deklaracja, odczytana w końcu Kongresu nie jest obowiązującą dla nikogo, a to tembardziej, że tekst niemiecki z powodu braku czasu nie został całkowicie uzgodniony z tekstem francuskim. Możecie absolutnie zawierzyć temu, co ja ogłosiłem w „La Pensée".

Zwróćcie uwagę, że rzeczywiście były pewne różnice i pewne niedokładności w naszej wielkiej pracy, jaką spełniliśmy w Berlinie, lecz to wszystko zostanie ustalone, ponieważ członkowie Egzekutywy zgadzają się co do tego w zupełności. Duch najzupełniejszej swobody będzie panował w nowej Międzynarodówce.

Łączę, drogi towarzyszu, dla Was i dla wszystkich Waszych, wyrazy przyjaźni.

(—) Dr. Terwagne

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ul. Poznańska 14, telefon 9 26-55. Rachunek czek. P.K.O. 13 214

Redaktor i Wydawca — Józef Landau

Skład: „Zjednoczeni Drukarze". Druk: „Bristol" Elektoralna 31.